

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

8

(Ciąg dalszy).

— Pan ma głos, który przenika mi wprost do duszy, który pobudza mnie do łez, a który mimo to czaruje mnie... Proszę, niech pan mówi jeszcze...

William, niezadowolony ze zwrotu rozmowy, pociągnął Ewelinę pod jakimś pozorem w drugi koniec salonu. Siedli przy sobie na kanapie i lekarz starał się ją zająć albumem kart pocztowych, jak gdyby widoki pięciu części świata mogły ją oderwać od wewnętrznego jej świata.

Marcadian postawił swą filiżankę na marmurze kominka. Pospieszył znowu ku mnie i powrócił zaintrygowany do poprzedniego tematu.

— Powiedział mi pan, że ma pan swe osobiste zdanie?

— Tak, pochodzi to zapewne z podobieństwa do przygody, jaka mi się zdarzyła przed dwudziestu laty w Niagarze, gdy William był jeszcze małym chłopcem. Dlatego też nie mogę uwierzyć w śmierć pana Barrabasa, jak również i jego syna.

— A na czym pan opiera, jeżeli można wiedzieć, swe domniemanie!

— Na niepewności, jakiej wszyscy doznają, czy była to zbrodnia, czy wypadek?

— Nie ma tu żadnej wątpliwości.

— Dlatego też i ja jej nie mam. Jestem najzupełniej pewny, że Polidor zabił swą matkę, a Barrabas przez swe zniknięcie, jak również i przez list, w którym opisał zmyślony wypadek, chciał tylko ocalić swego syna, lub przynajmniej oszczędzić hańby, jakaby na wszystkich spadła.

Marcadian zaprotestował gorąco:

— Pańska hipoteza nie jest nową. Sędzia śledczy brał ją pod uwagę. Fakt jednak, iż wszelkie poszukiwania Barrabasa i jego syna okazały się daremnymi, pozwala przypuszczać, że jeden i drugi, jak to napisali, nie chcieli przeżyć tego strasznego wypadku; jest to jak dotychczas jedyne prawdopodobne zdanie... Zresztą co do Polidora, to śmierć jego jest prawie stwierdzoną.

— Ach!

— Tak, prawie dowiedzioną od trzech dni. W okolicach Noisiel, o ośm czy dziewięć kilometrów od Bry, znaleziono nad brzegiem Marny jego ubranie — wskazuje to, iż nieszczęśliwy dopełnił swego zamiaru.

— Ach! — szeptałem przestraszony, starając się ukryć swe zmieszanie... I pan sądzi, że podobne odkrycie?...

— Tak, dzięki temu, sprawa zostanie uznana wkrótce za skończoną. Staram się o to ze wszystkich sił...

— Jeżeli Polidor utopił się w istocie w tamtych stronach, to winni byli wydobyć jego zwłoki? — rozumowałem.

— W jaki sposób? Przecież to się stało już przed miesiącem. Prąd wody mógł go zanieść do Sekwany, a stąd dalej jeszcze.

— I pan sądzi, że ojciec jego Barrabas również...

— Podzielił los swego syna! Można się tego obawiać. Trzeba zwrócić uwagę na to, iż szwagier mój w dzień... wypadku jadł śniadanie w oberży w Lagny, o dwa kilometry od brzegu, gdzie dokonano tego odkrycia... Jest tu widoczna łączność.

— Hm! — odrzekłem z najzupełniej zimną krwią — są to tylko hipotezy.

— Tak prawdopodobne, jak i pańskie, master Brentano.

— Przepraszam pana, panie mecenasie, że poruszyłem ten temat — rzekłem do niego po przyjacielsku. — W gruncie rzeczy chcę wierzyć w to, co i pan. Pan zna historię Williama, a ja znam historię Eweliny. Nie przypuszcza pan chyba, że chcę stawiać zawady przyszłości, że tak powiem, naszych dzieci. Jakieś dziwne podobieństwo istnieje między położeniem Williama Duncana, który odnajduje mnie po dwudziestu latach, a pańskiej siostrzenicy, która w tak tajemniczych warunkach traci swych rodziców i brata. Mówmy jednak o czym innym, drogi mecenasie! Na kiedy pan naznacza ślub Eweliny i Williama?

— Konwenanse... głęboka żałoba... nie pozwalają na bliższy termin.

— A czy nie uważa pan, że możnaby nie zwrócić w tym wypadku uwagi na konwenanse? Nie chciałbym wracać do Nowego Jorku przed ślubem Williamem...

— I ja ze swojej strony przyznam się, master Brentano — odrzekł żywo sławny adwokat — że chciałbym, aby to stało się jak najprędzej... Z ta-

kim narwańcem, jakim jest Joe Duncan, ten papierowy król, nigdy nie można być niczego pewnym... Przytem może zagrażać nam jeszcze i ta sprawa z Lucyą Weill. Pan musi coś o tem wiedzieć...

— Co do tego może pan być spokojny — odparłem, opuszczając głowę. Zdaje mi się, że prędzej odnajdziemy Barrabasa, niż tę małą zmię, która unikać będzie spotkania z nami.

Zajęci rozmową nie zauważyliśmy, że młoda para wyszła z salonu... W chwili tej wracali właśnie i Ewelina niosła w rękach peł chryzantem, które William ściął z krzaków... Rzekła nam z smutnym uśmiechem:

— Zaniosę je na grób matki.

Odwrociłem głowę, by otrzeć niespostrzeżenie łzy, jakie mi się ukazały w oczach... Zacząłem poddawać się wzruszeniu. By nie zdradzić się, zwróciłem się do Williama.

— Słuchaj, Williamie, chciałbym skorzystać z obecności pana Marcadiana i porozmawiać o sprawach materyalnych. ...Nie wiem, czy ojciec twój, Joe, przeznaczy ci jaki kapitał i jakiej sumy będzie on dosięgał. Moje położenie jest bardzo delikatne tak względem niego, jak i ciebie... Mimo to pragnę ci ofiarować małą pamiątkę... Nie możesz odmówić mi przyjęcia jej.

— Nie poruszajmy spraw pieniężnych — sprzeciwił się lekarz.

— Mówię tylko o małej pamiątce! — nalegałem...

I podałem Marcadianowi czek na pół miliona franków, które mi poprzednio wręczył Joe.

— To dziwne — zauważyła znowu Ewelina, która zaczęła już przzywyczać się do mej przydoty — jak głos pański, master Brentano, przypomina mi głos mego biednego ojca.

Miedzy jednak brzmieniem mego głosu a zachowywaniem się mojem tak względem Williama, jak względem mego szwagra i córki, znajdowała się taka przestrzeń, iż gdyby nawet mogło się zrodzić w nich jakie przypuszczenie, to w tej chwili upadło ono wobec mej spokojnej obojętności i zimnej krwi. Nie miałem się więc czego obawiać. Od pół godziny, które spędziliśmy razem, ani Marcadian, ani Ewelina nie okazali najmniejszego niepokoju na widok mej osoby. Nikt już nigdy mnie nie pozna! Dowód tego miałem teraz stanowczy.

— Może pójdziemy przejść się jeszcze? zaproponował William... Może państwo chcą zobaczyć mych chorych?

— Musi to być bardzo ciekawe! — rzekł Marcadian.

— I bardzo bolesne — dodała Ewelina.

— A pan idzie z nami?

— Uchyliłem się od tego zaproszenia.

— Znam już kilku chorych Williama... Jest to więcej bolesne niż ciekawe... Wolę pozostać w salonie i wypalić cygaro.

Po wyjściu ich podszedłem do okna wychodzącego na park i czoło oparłem o szybę... Nie umiałem sobie wytłumaczyć, dlaczego w chwili tej czuję się tak szczęśliwy. Rozmowa ma z Marcadianem wykazała mi, iż wszystko tak się odbywa, jak to instynktownie przewidziałem... Poświęcenia więc me nie były bezowocne... Sprawa o tajemniczą śmierć mej żony zostanie wkrótce ukończona... Co do siebie nie obawiałem się już wcale, by mógł mnie kto poznać... Los Eweliny był również już zapewniony. Pó dzie ona przez życie pod rękę z Williamem, a jedynym jej smutkiem będzie wspomnienie o przeszłości. I błogosławiłem teraz króla papierowego, swego kata, jak błogosławi się opatrznosc. Z zamyslenia mego wyrwał mnie służący, który wpadł do salonu z przestraszoną miną.

— Proszę pana!... proszę pana!... — wołał — nie mogąc ze wzruszenia nic wyrazić.

Wreszcie rzekł:

— Panienska... ta panienska zemdlala w gabinecie pana doktora!

W jednej chwili znalazłem się na dole. W pokoju przyjąć Williama ująłem przerażonego Marcadiana z twarzą zupełnie zmienioną i Williama skrapiającego wodą kolońską czoło Eweliny, która leżała omdlona na szeslongu. Miedzy zaniepokojonym i zdenerwowanym Williamem a Marcadianem, który stał pośrodku bez słowa, z szeroko rozwartymi oczami! zjawilem się jak intruz, który nie wie jak się obrócić i co ze sobą zrobić.

— To z powodu Z...! — rzucił mi wymijająco William.

— Z powodu Z...?

— Tak... z powodu Z... — powtórzył naiwnie Marcadian, nie wiedząc nawet sam, co to ma znaczyć.

— Któż jest ten Z...? — zapytałem zaintrygowany.

Marcadian za całą odpowiedź wzruszył tylko ramionami i opuścił bezwładnie ręce po bokach.

— Proszę mi podać małą buteleczkę, która jest na półce, na lewo — odezwał się William.

Ewelina otworzyła wreszcie oczy... Spojrzała naprzód błędnym wzrokiem na Williama, potem na swego wuja i na mnie. Widać jednak było, iż poza nami trzema szuka jeszcze jakiejś innej, czwartej osoby. Naraz wybuchła jakimś spazmatycznym śmiechem, po którym zaczęła łkać silnie...

— To dobrze — rzekł William — teraz mija kryzys.

Marcadian zdawał się przychodzić pomału do siebie. Po chwili rzekł:

— Zawołam naszą karetę!... Trzeba wracać czem prędzej.

I wyszedł, chwiejąc się na nogach, jakby był pijany.

William, uspokojony już zupełnie, tłómaczył się przed Eweliną:

— Gdybym przewidywał to, nie proponowałbym tej wizyty.

— Zmuszał się do uśmiechu, by ją rozweselić.

— Tak, tak, droga Ewelino, winienem być to przewidzieć... Nerwy młodej panny są czulsze od naszych... Jakaś ty nerwowa!

I ścisnął ją czule za rękę.

— Pójdę po chryzantemy do salonu — dodał i wyszedł.

Zostałem sam z Eweliną... Karetą zajechała przed podjazd. Ofiarowałem się sprowadzić ją.

— Niech pani oprze się na mem ramieniu.

— Och! — rzekła Ewelina... nogi uginają się pode mną.

Wziąłem ją bez namysłu na ręce i zniosłem do karety... Z ufnością uchwyciła się obiema rękami za mą szyję. Czulem, jak na mej piersi bije serce mego ukochanego dziecka. Zdawało mi się w wtedy, że niosę w rękach świat cały. Gdym złożył ją na poduszkach karety, podała mi wdzięcznie swe czoło do pocałowania.

— Dziękuję panu serdecznie, master Brentano.

Gorącemi wargami ucałowałem czoło mej drogiej córki i chociaż nie byłem wrażliwy, jak mój szwagier, ani uczuciowy, jak młoda panna, musiałem jednak zagryść do krwi swe wargi, by nie wybuchnąć płaczem.

VIII.

William był bardzo dotknięty tą sceną, która tak nieszczęśliwie zakończyła pierwszą wizytę jego ukochanej. I ja byłem bardzo tem zirytowany, choć to chwilowe omdlenie nie groziło Ewelinie żadnymi poważniejszymi następstwami. William wyrzucał sobie gorzko:

— Cóż za dzika myśl mi przyszła pokazywać jej waryatów!

Z całej tej sceny mnie najbardziej zaintrygowało przerażenie Marcadiana... Oznaczało to jakąś niezwykłą słabość charakteru u człowieka przyzwyczajonego już do najrozmaitszych wzruszeń; było to zarazem bardzo sprzeczne ze zwykłą jego zimną krwią... Zupełnie też nie mogłem wytłumaczyć sobie jego zakłopotanie, które wyglądało na coś więcej niż na proste zakłopotanie... Na jakież więc widok naraził William tak niezręcznie swych gości! Co miały wyrazić te słowa: „To z powodu Z...“?

Bąłem się dopuścić niezręczności, wprowadzając rozmowę na ten temat. Musiałem zachowywać zupełnie zimną krew, co z trudem tylko udawało mi się wobec mej ciekawości. Nie długo jednak potrzebowałem tak się hamować, gdyż William zaczął mówić do siebie, jakby się nad czemś namyslał.

— Z każdym dniem widzę to jaśniej, iż Marcadian jest nerwowcem specjalnego rodzaju i lękam się tylko, czy ten dramat rodzinny, który go dotknął, nie pozostawił na nim jakich niezatartych śladów. Jest to bez zaprzeczenia stan patologiczny, naruszenie władz umysłowych. Wyrażnie na to wskazuje ta dziecięca wrażliwość, którą można sobie jeszcze wytłumaczyć u młodych panien.

— Niedługo dojdiesz do tego — próbowałem zażartować — iż zaczniesz uważać wszystkich za waryatów.

— Nie znasz, Jonatanie, znaczenia słów francuskich, których używasz... Ja nie mówię o waryatach! Z... nie jest waryatem... tak jak Marcadian nim nie jest, ty, lub ja.

— Któż jest ten Z...?

— Jest to chory, który wywołał w nich pewien rodzaj wstępu fizycznego; u Eweliny objawiło się to podrażnieniem nerwów, u Marcadiana zaś jakimś niezrozumiałym osłupieniem. ...Ach! mój drogi Jonatanie, ty nie masz pojęcia, co to jest klinika psychiatryczna!... Ty nie wiesz, że poza temi mu-